Nr. 46. We Lwowie dnia 12. listopada 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

FRYDERYK SZOPEN.

FANTAZJA.

»Pieśni twych cudnych barwne ogniwo
Już się wieczystym snuć będzie ciągiem;
Ty w sercach naszych, co biją żywo,
I bez posągu będziesz posągiem«.

Włodzimierz Wolski.

I.

Nad ziemią leciała piosenka. Gdzie zrodzona... ha, Bóg jeden wie. Może gdzieś na łące poczęła się skargą skoszonego kwiecia, może wśród górskich przepaści powstała z jęku konającego orlęcia, potem powtórzyło ją echo, potem wiatr poniósł w doliny i z wichrem szła lasami i łanami zbóż. Leciała nad wioską, a w wiosce płaczem zawodziła dziewczyna po matuli, po rodzonej... leciała gościńcem, a po gościńcu jechało wesele i bębny bębniły i ludzie się śmieli, drużbowie hukali na uciechę... szła lasem, a drzewa tam szumem wiosennym szumiały, nad mogiłami leciała staremi, a z mogił głosy jakieś wstawały ogromne... I ze skarg połamanych kwiatów, z jęku pisklęcia, z płaczu sieroty, uśmiechów ludzkich i z szumów leśnych, z głosów skowronków i z mogił starych gwaru, snuła się przędza piosenki coraz dłuższa i dłuższa, to śmiejąca, to żałośna, rozpłakana.

I szła nad polem i szła nad rzeką, o zorzy rannej wstawała na roli, o zmierzchu letnim płynęła w powietrzu, i słyszały ją słowiki śpiewne, a żaden powtórzyć nie umiał, i słyszeli ją ludzie, a żaden nie wygrał, nie wyśpiewał całej, aż jeden ją usłyszał. W jasny wieczór majowy wleciała mu oknem, wleciała razem z wonią bzów i narcyzów wiosennych, i zawodzić jęła po swojemu. On podniósł głowę, a miał twarz bladą i smutną, choć młodą. Piosnki - tułaczki słuchał długo, długo, a ona płakała i śmiała mu się na przemiany, to łkała żałośnie boleścią wielką a prostą, to, zwodnica zmienna, śmiechem wybuchała ochoczym, i potem znowu poczynała smęcić się, a żalić, a wyrzekać, aż poleciała het na pola i lasy.

Smutny młodzieniec podniósł się wtedy, rękę białą położył na klawiszach i z pod palców popłynęła mu ta sama płaczka polna, ta sama pieśń - zwodnica. Zadźwięczały w niej znowu skargi kwiatów, kopytem końskiem zdeptanych i jęki piskląt, wyrzuconych z gniazda i płacz dziewczyny i chłopców śmiechy i szmery puszcz i mogił szept. Ani jednego tonu tam nie brakło, wszystkie pochwycił artysta, dołączył jeszcze własnego serca ból i cudną a dziwną poniósł w świat daleki.

I słuchają jej teraz obcy, a ona skarży się, przed nimi nieznaną im mową. Ludzie przystają, dziwią się, rozpytują, i — choć obcy — płaczą czasem z nią razem.

II.

W salonie p. Smith po raz pierwszy zebrało się towarzystwo tak świetne. Prócz kilku znakomitości z City, które zazwyczaj stanowiły ozdobę artystycznych wieczorów miljonera, widzieć tam było można dzisiaj i paru młodych przedstawicieli starych rodów. Kilka koron hrabiowskich i jedna podobno mitra książęca zaszczyciły jednocześnie obecnością swą firmę „Smith i synowie". Stało się to za sprawą pani Smith, której umiejętność prowadzenia salonu i gorąca chęć uprzyjemniania gościom swym chwil, w domu jej spędzanych, znane były i podziwiane w szerokich kołach. Jakiż to świetny pomysł np. to sprowadzenie do siebie znakomitego wirtuoza, którym cała Europa się zachwyca, a który wczoraj, tak wczoraj dopiero zawitał do Londynu. W salonie pani Smith sławny artysta da się słyszeć po raz pierwszy; później dopiero będą miały miejsce występy publiczne. To też nie dziw, że cały świat amatorów, melomanów stawił się z ochotą na zaproszenie uprzejmej gospodyni domu.

Pan Smith zadowolonym wzrokiem wodzi po tłumie swych gości. Toalety dam są świetne: brylanty, szafiry, rubiny snopy iskier rzucają do-

koła. Perły młodych panienek ślicznie stroją te świeże, młodziutkie postaci. Atmosfera wyrafinowanego zbytku panuje w tem zgromadzeniu.

Już wprowadzono zagranicznego artystę, koncert się zaczyna. Panie okoliły fortepjan, panowie cofnęli się i ugrupowali pod ścianą. Tam, w rogu salonu, odosobniony nieco siedział człowiek niestary, ale widocznie przeszłością swoją strudzony. Rysy miał piękne, subtelne, niby wyrzeźbione, wyraz zaciśniętych ust nieco bolesny, oczy przygasłe. Od całej tej postaci wiał smutek, a głębokie zmarszczki na czole, a włos posiwiały przedwcześnie, a bolesne skrzywienie ust świadczyły, że człowiekiem tym wstrząsać musiały kiedyś burze namiętności i wzruszeń gwałtownych, że on czuć, kochać, cierpieć umiał szalenie. Dzisiaj poważny, zimny wyglądał równie poprawnie jak reszta towarzystwa, do którego zdawał się być doskonale przystosowanym. Z uwagą słuchał muzyki, a w przerwach zamieniał kilka słów z najbliższym sąsiadem.

— Uważaj pan, w programie mamy nokturn Szopena.

Kiwnął obojętnie głową, ale po twarzy przeleciała mu niby łuna i zgasła, a usta zadrżały nerwowo.

Szopena... Boże, kiedyż i gdzie słyszał on go poraz ostatni?! Tam w małym dworku nad Bugiem grało go dziewczę takie jasne i białe... Potem inne, bojowe dźwięki mu zagrały, a potem już nic tylko ból, ból...

Cisza zrobiła się w salonie, artysta rękę położył na fortepjanie i w powietrzu zadrżał nokturn-marzenie. Zdawało się, że przygasły lampjony, że przyćmiły się blaski brylantów i szafirów, a salon światło miesięczne zalało. Tak, to noc księżycowa, świetlana, cicha, ale jakaż dziwna?... Słychać tajemnych przysiąg szept, słychać pożegnań cichych rozpaczliwe westchnienia, białe postaci mdlejące przesuwają się po szpalerach ogrodów... Zdala dźwięki dolatują tajemnicze, złowrogie... może to hukanie puszczyków, może płacz jakiś odległy.

A tony nokturnu cichną, w inny, smętniejszy przelewają się motyw.

Po łąkach mgły wstają. Wstały białe, jak duchy i płyną niby smętnych, przejrzystych postaci chór. Miesiąc je srebrzy, a wiatr srebrne rozwiewa. Każda plamę krwawą ma na piersiach i w świetle miesiąca płyną i płyną w cień. Wiatr je niesie coraz dalej i dalej, wiatr je rozwiewa. Już przepłynęły i na łąk się ułożyły polu. Tam im cisza i sen — i cień.

Księżyc już nie świeci, chmur go czarnych zakryły tumany. Nic już nie ma, tylko ciemność i ból — i ból...

Łkanie głośne zmąciło melodję. Artysta wzdrygnął się cały, ręce podniósł od fortepjanu i jak ze snu zbudzony spojrzał dokoła. W rogu salonu otoczono niemłodego człowieka, śpiesząc mu z pomocą. Jasnowłosa panienka podawała mu szklankę wody, gentleman jakiś radził kieliszek koniaku. On nie odpowiadał, głowę miał ukrytą w rękach i szlochał z taką żałością namiętną, jakby zapomniał — ba, z pewnością zapomnieć musiał — że znajduje się w salonie p. Smith. Nagle wstał i rozpychając tłum przed sobą uciekł z pokoju.

Na chwilę zapomniano o artyście. Ogólną uwagę zwróciło dziwaczne zachowanie się tego człowieka.

— Kto jest ten gentleman? — sam książę raczył zapytać głównego przedstawiciela firmy.

— To jeden z moich buchhalterów, dziwak, cudzoziemiec, Polak — pośpieszył z objaśnieniem gospodarz domu.

— Nerwowy? — badał książę dalej.

— O tak! Wrażliwy, chorobliwie wrażliwy.

— A skądże wybuch wzruszenia wobec tej... tej melodji? Inne znosił spokojnie.

Pan Smith wzruszył ramionami. — Odpowiedzieć trudno! — nagle niezwykła myśl błysnęła mu w głowie.

— Może jakieś wspomnienia młodości — rzekł patrząc na księcia.

Wielki pan uśmiechnął się z lekka.

— Tak, to możebne — i powrócił do fortepjanu.

Artysta zdołał już ochłonąć, wziął pełen akord i świetnymi pasażami jakiegoś ronda zagłuszył wspomnienie nokturnu. Dalszy ciąg koncertu odbywał się wedle programu.

III.

Jest na Père la Chaise samotna mogiła. Leży w niej śpiewak, co piosnkę zwodnicę poniósł w świat daleki. Grał on ją ludziom długo, długo... i od piosnki się smutkiem ojczystym zaraził... Nie było jemu na ziemi radości, ani wesela...

Nie dziwcie się łzie wspomnienia, bo on umarł młodo i smutny był zawsze.

Helena Ceysinger.

Zadania powieści polskiej.

Skreślił

Z. Miłkowski (T. T. Jeż).

(Dokończenie)

Przemilczeć tego nie mogę, że w literackich sferach istnieją poglądy, sprzeciwiające się zapatrywaniu się powyższemu i przemawiające w imieniu »nowej ery«, usuwającej z pośród motywów powieściowych motyw stary, patrjotyzm, jako »instrument przedęty«, służący do maskowania niedostatków kompozycji literackiej. Instrumentu bardziej przedętego, aniżeli miłość dwojga istot płci odmiennej, wyobrazić sobie chyba nie sposób. Grajkowie rozmaitej mocy i różnego kalibru, od początku istnienia ludzkości, grają na nim z pokolenia w pokolenie. O instrumencie tym powiedzieć można, że jest i przedęty i jak świat stary, a przecie — zawsze nowy. Nie! Starość lub nowość, jakoteż większe lub mniejsze ogranie instrumentu nic tu do rzeczy nie mają. Niedostatki kompozycji nie od instrumentu, ale od tego, co na nim gra, zależą.

Lichego pisarza temat nie ratuje, ale sposób, w jaki on go oddaje. Rafaelowska Madonna syxtyńska nazawsze pozostanie najpiękniejszą śród wszystkich Madon, malowanych przez artystów, nie dorównywających Rafaelowi talentem. Obok sonetów Petrarki, obok rozmowy przy zwiastującym świtanie dnia skowronku pomiędzy Romeem a Julją Szekspira, nie gasną miłością ojczyzny płomienne strofy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego.

Oddanie rzeczy zależy całkowicie od mistrzowstwa artysty pendzla, dłuta, smyczka lub pióra, ale ani trochę od takiego lub innego motywu albo tematu. Pisarzom się tematów nie narzuca. Pozostawia się im we względzie tym swoboda, ścieśniana tam jeno, gdzie nad twórczością literacką czuwają dozory, znane pod nazwą »cenzury«.

Cenzura — oh! — ta nie tylko swobodę ścieśnia, ale i zadania wytycza.

W tem się położeniu znajduje, w tych się warunkach obraca literatura nasza. Czuwa nad nią opieka celowa i tendencyjna — a tendencja jej, stosując się do widoków politycznych, na tem polega, ażeby obniżyć poziom naszej twórczości literackiej i nie dopuścić jej kroczenia w kierunku, odpowiadającym istotnym narodu potrzebom.

Potrzebom — jakim mianowicie?

Powyżej, mówiąc o powieści wogóle, o jej znaczeniu i wpływach, przytoczyłem parę głośnych przykładów, o znaczeniu i wpływach owych świadczących. Wyraziły się one za pomocą wskazań, mających na celu uczynienie zadość wymogom bądź to porządku publicznego, bądź sprawiedliwości, bądź pożytku, jakie się w danym momencie znajdowały na porządku dziennym. Autorowie powieściowi wymogi owe zobrazowali, udramatyzowali, uakcentowali i wytworzyli prąd w kierunku, w którym się potrzeba zaznaczyła, — wywołali ludzi, którzy kierunek ów uznali, poszli w nim i ogół za sobą pociągnęli. Stało się to tak naturalnie, jak naturalnem jest powzięcie, po wyjaśnieniu sprawy, postanowienia, poprzedzającego czyn. Za wskazaniami Cervantesa, Jana Jakóba Rousseau, Pestalozziego, pani Beecher Stowe, błędne rycerstwo znikło, edukacja publiczna na właściwą weszła drogę, z murzynów opadły więzy niewoli.

W naszem anormalnem położeniu, wobec prawowitych aspiracji, naród nasz przejmujących a niemniej interesujących, aniżeli błędne rycerstwo, edukacja publiczna, niewola murzynów, nie mniej ważnych i nie samych tylko Polaków obchodzących, potrzeba zaznacza się sama przez się. Wyraz jej, o ile się on tyczy literatury powieściowej, zawierają w sobie zadania, mające na celu nie samo uprawianie mowy ojczystej i ochranianie pamiątek narodowych, ale oraz i nadewszystko p i e l ę g n o w a n i e z d r o w i a d u s z y.

Tak, panie i panowie: zadania powieści polskiej polegają obok tych zadań, jakie ma powieść wogóle, na pielęgnowaniu zdrowia duszy polskiej, na pielęgnowaniu, podlegającemu takim samym regułom i warunkom, co pielęgnowanie zdrowia ciała, gdy ciało w nienormalnym znajduje się stanie. Pozostającemu w stanie takim człowiekowi nie mówi się:

»Starania, jakie około siebie w nadziei odzyskania zdrowia czynisz, daremnemi są — musisz umrzeć, z losem się więc zgódź i na śmierć się gotuj!«

Nie przemawia się w sposób taki do rzeczywiście nawet chorego, nawet do takiego, którego organizm postradał już całkowicie siły żywotne, nawet do konającego — nie dopieroż do narodu, o którego siłach żywotnych wątpić nie można, mimo bowiem rozćwiertowanie, mimo klęski i zawody, jakich doznał, składał i składa

dowody, że je posiada na wszystkich drabiny społecznej szczeblach.

Nie przemawia się tak do narodu dla tego, żeby sił jego nie osłabiać, nie rozluźniać, nie rozkładać, żeby nie pomagać akcji cenzuralnej, mającej osłabianie, rozluźnianie i rozkładanie sił naszych narodowych za zadanie.

Zadaniu temu powieść polska przeciwstawiać winna zadanie polskie, nie zmienione w niczem i nie zmodyfikowane od stu z górą lat — rozwiązywane przez pokolenia jedno po drugiem i nie rozwiązane jeszcze. Pamiętając o niem, mając je ustawicznie na myśli i na uwadze, znajdzie ona sposoby i drogi do stawienia czoła najsurowszym wymogom opieki cenzuralnej.

Takiem jest, obok zadań ogólnych, szczególne, specjalne — że tak powiem — powieści polskiej zadanie.

Nie powiem, skąd do tego przyszło, żem je w ten zaznaczył sposób, nie powiem dla tego, iżbym podnieść musiał rekryminacje i skargi, które umyślnie na stronę zesuwam. Ograniczam się na wytknięciu naszego zadania powieściowego. Ma ono iść w ład prawowitym narodu aspiracjom, ma urabiać w społeczeństwie hart potrzebny w działalności, czy to odpornej czy zaczepnej, a będący zaczynem, wydającym z siebie charaktery silne, przyświecające narodowi w odpieraniu ciosów i w pochodzie naprzód.

Powieść nasza, gdyby tego zadania na uwadze nie miała, gdyby zamiast dodawania otuchy i podtrzymywania ducha, szczepiła to przekonanie, że społeczeństwo polskie tak zniedołężniało, iż samo sobie dać rady, ani samo przez się nic począć nie może, — że warstwa wyższa hoduje filozofję jałową, pozbawiającą życie celu, że w warstwie średniej przedsiębiorczość polega na wysilaniu energji na miotanie się bezowocne, że warstwę niższą zapełnia dzicz śmieszna i głupia — powieść — gdyby ten kierunek wzięła, o! jakżeby ona źle sprawie narodowej służyła... Z powodu powieściopisarza, któryby w takim kierunku prace swoje prowadził, pożalićby się należało:

»O Matko Polsko, źle się twój syn bawi!«

Zadania powieści polskiej wyrażają się krótko:

gromadzić i do wiadomości publicznej podawać odźwierciedlające społeczeństwo dokumenty w całej prawdzie i nagości;

w zakresie rad i wskazówek, obok karcenia z całą surowością złego, budzić w narodzie ducha samodzielności i nie dawać w duszy jego upadać ani słabnąć tej energji, bez którejby się on przed wieki narodzić nie mógł, i obecnie, pod ciosami, jakie na niego spadały i spadają, zaniknąćby musiał.

Zadania te, w istocie rzeczy, nader trudnemi nie są. Dla odpowiedzenia im chodzi o to jeno, ażeby powieściopisarstwo polskie wpatrywało się w tę gwiazdę, co gienjuszowi Polski przyświeca, a jest tak jasną i tak widną, że Polak musiałby chyba ojczyzny własnej dzieje fałszować, ażeby jej nie widzieć.

Ogniste wici.

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).

Błysło... mignęło... na piaszczystych wzgórzach baltyckiego wybrzeża.

Niedaleko od morza leżała biała wioska słowiańska, jak muszla, błyszcząca oświetlonemi łuczywem okienkami chat, szumiąca gwarem przyciszonych pieśni wieczornych.

Błysło... mignęło... płomykiem wystrzeliło jedno wzgórze, drugie, trzecie... dreszcz światła przeleciał powietrzem, zaiskrzyła się rosa i zgasła. Kogut zapiał przedwcześnie, myśląc, że to już świt i umilkł zdziwiony. Gołębie na dachu chaty wyjęły głowy z pod skrzydeł, pokręciły tęczowemi szyjkami i usnęły dalej. Powój, przytulony do ścian kontyny, drgnął przez sen, kwiaty westchnęły wonią, ale nie miały siły się otworzyć przez ciekawość.

Błysło... mignęło... i nagle, w chacie kołowrotek przystanął, nitka pieśni pękła, niedokończona klechda wionęła pod powałę... prządka się odwróciła ku okienku, a chłopiec szybko odkręcił z palca koniec płowego warkocza sąsiadki i porwał się do progu.

— Ogniste wici! — krzyknął, aż się rozległo daleko, do wzgórza, do brzegu, wszędy...

— Ogniste wici! – i już był na koniu, w polu, z płonącą gałązką w ręku pędził do sąsiedniego opola, jako zwiastun trwogi i walki.

Gdy zaświtał dzień, pytano niespokojnie po siole: kto? skąd? kiedy? ale zagadka sama tłumaczyła się szybko i groźnie... Od dymów szarzało na krańcach brzozowych lasów, słońce zeszło jak bursztyn zamglony z baltyckiej fali, ptaki ruszyły spłoszone z gniazd i z krzykiem szukały bezpieczeństwa w powietrzu; zwierz w strachu pędził gajami na oślep, a ciężkie przeczucie, jak mgła, tłoczyło piersi zbrojących się na prędce kmieci.

Zatętniało, zahuczało i zamorski napastnik spadł, jak huragan, na bezbronną wioskę. Wspaniały był, strojny, rycerski, fantastyczny. Z pod kołpaków latały z wiatrem ciemne kędziory, na szyjach błyszczały piękne łańcuchy, u boku broń, której najeźdźca używał zręcznie, szybko i dumnie. Nietylko dla łupu tu wpadał, ale i dla przyjemności wyprawy, ale i dla sławy, — nie o zdobycz mu tylko chodziło, ale o ludzi, których porywał w towarzyskie swe szeregi, ale o wrażenie, jakie za sobą zostawiał.

Młotem Thora walił o wrota kontyny, uśmiechał się do dobrodusznych bogów słowiańskich, co ręce przy piersiach trzymają, jak ich lud swe marzenia przy kawałku rodzinnej ziemi, i nie marzą o dalekich wyznawcach, jak i ci skromni Weletabi o dalekich zaborach. Piękny Normand na złość czterolicowemu Światowidowi broił dookoła swawolnie, mrugał na Radegasta, kłaniał się buńczucznie Ładzie, opiekunce porządku; jak swoje, zabierał bogate objaty na ołtarzu bóstwa miłości złożone, bezbronna Dziedzilla znieść musiała jak jej z szyji bursztynowe zdejmował paciorki, a jej kapłankom gorące w uszy kładł słowa, szumnie i gwarno łupił, porywał, zwyciężał, tryumfował. A potem, walka przycichła, spór się wyczerpał, zgliszcza przygasły, hufiec przeleciał, a na progu chaty przysiadł ranny wróg, zmęczony, kurzem i krwią okryty, z śmiercią na czole, a jeszcze z zawadjacką, zalotną dumą w spojrzeniu.

Przestał być wrogiem, został gościem... miecz upuścił przy ścianie, rozpiął pas nabijany, zdjął ciężki kołpak i poddał się z ufnością gościnności tej chaty, zdobywanej przed chwilą. Mężczyźni ofuknąwszy go zrazu, zaczęli wkrótce z nim gwarzyć, kobiety opatrzyły mu rany, podały kubek wody i kęs chleba. Dobrze mu było. Wojna zbiorowa rzecz; jeden żołnierz, odbity od szeregu, nie podziela zaborczej nienawiści hufców; gromadnie — jest najeźdzcą, osobno — wędrowcem z dalekiej strony, samotnym śród obcej ziemi. Nawała poleciała krainą, on został i zyskał współczucie. Do sił przychodził, broń naprawiał jaką w chacie znalazł, stał się domownikiem, mieszał się do rady, rycerskim swym pierwiastkiem zyskiwał wpływ na kmieci, pewnością siebie urzekał wszystkich dookoła. Młodzieńcom rozpowiadał o surowej karności północnych drużyn, o męstwie wodzów, zręczności towarzyszy, o ślubnych braciach, wiernych sobie na życie i śmierć, o nadzwyczajnych wyprawach przez ciepłe morza do wysp, pachnących korzeniami, o świetnych czynach junackich Lachów, o królu Kanucie i mądrych ustawach, które bezpieczeństwo dają ziemi i spokój ludziom... Słuchali go młodzieńcy i uśmiech zadowolenia krasił ich rozchylone wargi.

A niewiastom znów prawił o walecznych dziewicach północy, które trud mężów dzielą, i nie lękają się, młode i śliczne, skoczyć w niepewną łódź ukochanego, i wśród burz i morskiej nawałnicy przeprowadzać go daleko aż na granice skalistego fjordu, i nie trwożą się na pole bitwy polecieć, jak Walkirje, i szukać lubego, gdzie upadł ranny, miłujące a odważne narażą się bez namysłu, byle z nim razem w niebezpieczeństwie być, byle z nim razem zwycięzką, dziką pieśń śpiewać, umrzeć lub żyć...

Słuchały go niewiasty i łzy kręciły się w ich oczach spuszczonych. Słuchała jedna szczególniej krasawica i on to widział... Więc białe czoło przecierał, a czarne kędziory odgarniał... więc na rany swe boleśniej jął się użalać... a oczyma więcej się skarżył, niż słowem; ona tę skargę brała w oczy swoje i żaliła się nad nim wzajemnem spojrzeniem... A gdy ojce do izby odeszli, gdy bracia poić konie pobiegli, ona mu znów kubek wody podała nieśmiało a wdzięcznie, on zaś półgłosem kończył jej swą sagę północną, która coraz się rozjaśniała, im bardziej ciemniało przed chatą, aż naraz buchnęła, jak zorza polarna, jak wici ogniste — gwałtownem wyznaniem miłości... »Zostanę już z wami, zostanę... ojców panować wyniośle nauczę, braci twych bronić się nauczę... jeno ty panuj nademną miłościwie, jeno ty mi się nie broń... Pokażę wam wojenny, mądry ład, i karny hufiec sam w zwycięzki wdrożę bój... tylko na piersiach mych ty kwitnij mi jak kwiat, w twem sercu jam już swój, w twych progach jam już brat, u stóp twych jam już twój...

Błysło... mignęło mu w oczach i zerwał się jak płomień... Dziewczyna pierzchnęła do alkierza...

Błysło... mignęło... co to? jak to się stało? to już?

W tej duszy legendowy panował spokój... bajeczna cisza zalegała serce... Aż tu naraz... Błysło... mignęło... zerwała się dusza, zatrzepotała skrzydłami, zbudzona nagle... Kołowrotek codziennych myśli przystanął.. zerwała się nić z półsennym dziecinnym wiążąca światem i płomykiem wezbrało serce... jedno pragnienie zapaliło się, drugie, trzecie, wszystkie siły serdeczne młodości zajaśniały ogromnym stosem. Ogniste wici miłości! Ach! to z twoich oczu tak się sypie, napastniku, najeźdzco! Cichemi słowy walisz jak młotem w bezbronne serce kontyny, wypłoszyłeś z niej wszystkie dotychczas marzone bogi, wszystkie te kruche bałwanki w prochu leżą przed tobą... sam jeden całą objatę uczucia zagarniasz, o ukochany Światowidzie mój! Kędy się obrócę widzę wszędy twoją twarz, i kędy postawię krok, widzę wciąż w płonących łzach twój wzrok... Żarz się święty ogniu, żarz! Tyś i w mego serca głąb, tyś i w moich myśli tłum nowy rzucił ład... Gościnny tobie bóg nie zamknął naszych chat, gdy raz przeszedłeś próg już ty nie jesteś wróg, już ty nam jesteś brat, towarzysz nasz i Lach, a dla mnie pan i kneź... i gdyś mi serce wziął, to już i życie weź...

Błysło... mignęło... dźwięknęło... Na szerokiej drodze, dziejowym przewrotem zoranej, wśród kurzu przejściowej chwili, szedł w białej świcie rączo lirnik młody. Stroi struny, zbiera dźwięki, pieśń jak miód w piersiach mu wzbiera, w sercu się gotuje, wiruje w pamięci i na usta mu wypływa słodka i potężna... Chociaż młody, dużo widział... krwawe boje, serc kochanie, i w plemieniu wpółuśpionem, najazdami przygnębionem, własnych sił świtanie. Pieśń, to duchowa krew narodu, bohater w niej żyje wieki, miłość

w niej działa, nienawiść w niej mieszka, zemsta w niej, jak bursztyn, w twardy odwet się ścina, cudowna jej moc... Lirnik ją nuci, gdzie spokojny znajdzie próg, na pobojowiskach i na weselach i na żalach, gdzie stoją łzawnice... nuci dla tłumu i dla jednego serca, dla leśnej ciszy, dla dębów świętych i dla szerokich dróg. Nuci gdy mignie... gdy błyśnie mu w duszy...

Oh! wici ogniste! ogniste myśli młodych duchów, wy płoniecie na wyżynach ludzkich rzeczy, na szczytach ludzkich pragnień, na rozedniu nowych czasów... myśli napastniki nieświadomych siebie krain, zdobywce przyszłości... wy lecicie pędem naprzód i w lot budzicie tych, którzy leniwie śpią... godzących się na mrok w zorzę wznosicie swą... i tym, którzy ostygli, jak martwy leżą głaz, krzyczycie ponad sercem — wstań z prochu, nadszedł czas!

Oh! wy cudne, ogniste wici natchnienia, wstawajcie rączo wraz ze stosu, co się ztlił, cierpień was rodzi moc... miłości twórczy cud... młodzieńczych zapał sił, plemiennej spójni czar, po nad przejściową noc przeprowadzicie lud, na prądzie śmiałych tchnień, przez walkę i przez trud na wspólny złoty dzień...

Szczęsna.

Historja ruchu rewolucyjnego w Rosji.

(Ciąg dalszy).

Jeszcze podczas wojny krymskiej Aleksander Hercen wraz ze swym przyjacielem Ogarewem założył wolną drukarnię w Londynie, skąd za pomocą gazety »Kołokoł« i czasopisma »Polarnaja Zwiezda«, wywierał ogromny wpływ na opinję publiczną w Rosji. W swych organach domagał się on od cara zawarcia przymierza z liberalnemi ideami wieku, zupełnego zerwania z dotychczasowym systematem powszechnej niewoli i bezmyślności, a przedewszystkiem zniesienia poddaństwa.

Działalność Hercena polegała przeważnie na oskarżaniu i krytyce. Co do celów pozytywnych był on socjalistą dawnej szkoły i zalecał Europie i własnej ojczyźnie wielkorosyjską własność gminną, odkrytą przez Niemca Haxthausena. Pod względem politycznym chciał on federacyjnej republiki słowiańskiej, w której Polacy odzyskaliby swą niepodległość. Początkowo Hercen pokładał wielkie nadzieje w dobrych chęciach młodego monarchy, ale rozczarowanie po ogłoszeniu aktu uwłaszczenia i osobisty wpływ jego przyjaciela Bukunina, który uciekł z Syberji do Londynu w r. 1869, zrobiły go bardziej radykalnym. W samej Rosji tymczasem trochę swobodniejsza prasa legalna rozpoczęła zwycięzką kampanję przeciwko panującemu porządkowi i zgniliźnie klas uprzywilejowanych (Szczedryn, Rieszetnikow, Gleb Uspienskij, Niekrasow). Z drugiej strony prasa usiłowała zaznajomić publiczność z zakazanemi dotychczas ideami zachodnio-europejskiemi i zdobyczami wiedzy pozytywnej. Przedewszystkiem interesowano się socjalizmem i historją rewolucji. Na czele tego literackiego ruchu stał miesięcznik »Sowremiennik«, którego główni współpracownicy, Czernyszewski i Dobrolubow, przeprowadzali w ramach cenzuralnych współczesne idee socjalistyczne i demokratyczne. Wywarli oni największy wpływ na rozwój rewolucyjny młodzieży. Powieść Czernyszewskiego »Czto diełat'« miała potężne znaczenie.

Początkowo wszyscy liberali, nawet bardziej socjalistycznego odcienia, tak samo, jak i ogół, mieli zupełne zaufanie do młodego monarchy, który przyjął na siebie inicjatywę w sprawie wyzwolenia włościan i energicznie wystąpił przeciwko szlachcie, wrogo usposobionej względem reformy. Socjaliści przy uwłaszczeniu bronili wyłącznie interesów włościan i starali się głównie o urzeczywistnienie trzech zasad: zabezpieczenia swobody jednostki, oddania włościanom za niewielkie wynagrodzenie, a jeśli można, bezpłatnie, całej ziemi, z jakiej korzystali dotychczas, wreszcie zachowania gminnego władania ziemią, w którem widzieli zarodek przyszłego ustroju socjalistycznego.

Tymczasem sprawa uwłaszczenia włościan weszła na drogę czysto biurokratyczną. Wskutek tego powstało niezadowolenie z zachowania się władzy. Zaczęto głośno wymawiać słowo »konstytucja«. Na niektórych zebraniach szlachty doszło do małych demonstracji. Coraz bardziej rosły wątpliwości, czy dobre chęci i zdolności monarchy wystarczą do przeprowadzenia wielkich reform w pożądanym kierunku. 19 lutego 1861 r. nastąpiło rozwiązanie kwestji, ale okazało się ono zupełnie nie takiem, jakiego domagała się partja liberalna i socjaliści. Włościanie otrzymali bynajmniej nie całą ziemię, jaka przedtem była w ich posiadaniu; jeszcze mniej ziemi przeszło do włościan bezpłatnie; rząd dawał włościanom pieniądze na wykup, ale za to podwyższał podatki i brał wielkie sumy na amortyzację i t. d. Akt 19 lutego stworzył głęboką przepaść pomiędzy socjalistami a rządem. Liberali też poczęli pesymistycznie zapatrywać się na jego działalność. Tajne stowarzyszenie, składające się z oficerów, z kierunkiem szczerze konstytucyjnym założyło pismo »Wielikoros« (3. n. n.), które domagało się oddania włościanom ich ziemi bez żadnego wykupu, zwołania zebrania konstytucyjnego i wyzwolenia Polski.

(D. c. n.)

Jubileusz „Osvěty".

Niedługo kończy dwudziestopięcioletnie istnienie najstarszy z wychodzących obecnie miesięczników czeskich »Osvieta — Listy pro rozhled o umieni, viedie a polityce«. Czesi mają zamiar uroczyście obchodzić jubileusz pisma, które nie małe oddało usługi literaturze czeskiej. Wszyscy wybitniejsi poeci, beletryści i publicyści czescy należeli lub też należą do grona współpracowników »Osviety«, która dotąd cieszy się powszechnem, a całkiem zasłużonem uznaniem. Prowadzona w ciągu dwudziestopięciolecia przez jedną i tę samą osobę (p. Wacława Wlczka), »Osvieta« zawsze była dokładnem źwierciadłem życia umysłowego Czechów, a w jej łamach ukazał się nie jeden utwór niepospolitej wartości. Śledząc pilnie wszelkie objawy życia czeskiego bądź to w dziedzinie polityki, bądź też w zakresie literatury, sztuki i nauki, »Osvieta« starała się również informować swych licznych czytelników o ruchu społeczno-literackim Zachodu. Ma się rozumieć, że sprawy słowiańskie, tak samo, jak i w innych pismach czeskich, były w »Osviecie« zawsze sumiennie uwzględniane. Względem Polaków zajęła »Osvieta« stanowisko bardzo przychylne, a życiu naszemu i literaturze polskiej sporo poświęcała miejsca. Oprócz przekładów, utworów poezji naszej, dała »Osvieta« cały szereg artykułów o rzeczach polskich (np. »S. Goszczyński«; »Al. hr. Fredro«; »Dążności słowiańskie u Polaków w latach od 1800—1830«; »Polacy a Rusini«; »A. Bielowski«; »Nowelistyka polska«; »Wit Stwosz«; »Polska przed stu laty«; »Bohdan Zaleski«; »Świeże groby polskie«; »Oskar Kolberg«; »Jan Matejko«; »Fr. Smolka« i wiele innych).

L. Wasilewski.

KARTKI NAUKOWE.

Przyszłość postępu w ludzkości. Czy istnieje nieprzerwany postęp? Znaczenie doboru naturalnego. Wychowanie wywiera wpływ pośredni. Teorja dziedziczności Weissmana. Wpływ kobiet na losy postępu.

Tak często słyszymy dokoła wielkie wyrazy: postęp, cywilizacja, odkrycia i wynalazki naukowe — że mimowoli wydaje nam się nieraz, iż za naszych czasów objawiają się takie cuda postępu, że ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało o czemś podobnem w ubiegłych epokach. Czy jednak tak jest w istocie? Czy ludzkość rzeczywiście wciąż kroczy drogą postępu? czy stała się ona lepszą, rozumniejszą? Oto pytania, które stawia znakomity uczony Alfred Russel-Wallace i daje na nie odpowiedzi ze wszech miar nader ciekawe.

Wyłuszczymy tu zasadnicze poglądy wielkiego filozofa-przyrodnika. Nie jest to bynajmniej łatwo odpowiedzieć na powyższe pytania, napotykamy bowiem niezwalczone trudności, gdy chcemy dowieść, że moralny i umysłowy dobytek ludzkości wzrasta nieustannie. Czy postęp jest prawem? Gdyby tak być miało, to ludzkość powinnaby iść wciąż drogą wstępującą i być nierównie dalej posuniętą, niż jest w rzeczywistości.

Z drugiej strony, gdy zajrzymy do historji starożytnych ludów, to, lubo z braku materjałów nie możemy w zupełności odbudować sobie ich życia, jednakże pozostałe po nich tu i ówdzie zabytki pamiątkowe są wielce wymowne. Wielka piramida egipska w swej zdumiewającej budowie zdradza taką ilość wiedzy z matematyki, astronomji i mechaniki, taką umiejętność w wykonaniu szczegółów, że budowniczowie jej znajdowali się zapewne na równym stopniu z naszymi teraźniejszymi inżynierami. W dziedzinie arcydzieł poetyckich i filozoficznych Wedy Indusów, Iljada Homera, księga Joba, dzieła Platona zasługują bezwątpienia, aby umieszczono je obok najlepszych dzieł teraźniejszych. W arcydziełach sztuki nie dorównaliśmy jeszcze starożytnym Grekom. Galton badał historję mężów stanu, wodzów, filozofów i poetów z epoki Periklesa i doszedł w końcu do wniosku, że średnie uzdolnienie Ateńczyków było o tyle prawie wyższe od naszego, o ile nasza umysłowość stoi wyżej w porównaniu do Negrów afrykańskich.

Z tego punktu widzenia ludzkość zdradza raczej upadek, niż postęp w ciągu ostatnich dwudziestu stuleci.

Należy jednak uwzględnić, że w każdem społeczeństwie toczy się nieustannie walka silniejszych ze słabszymi. Wskutek tej walki poznikały z oblicza ziemi rozmaite narody i plemiona, zwyciężone i opanowane przez ludy silniejsze. Takaż walka toczy się i wewnątrz każdego oddzielnego narodu między jego jednostkami; mniej uzdolnieni pod każdym względem padają zwykle ofiarą, a pozostają natomiast jednostki, lepiej przysposobione do życia. Tym sposobem odbywa się tak zwany dobór naturalny.

Społeczeństwo stawia wprawdzie wciąż przeszkody normalnemu rozwojowi ludzkości, prześladując i często zabijając jednostki, które wyprzedziły ogół w swym rozwoju. Wspomnijmy tylko inkwizycję, prześladowania protestantyzmu, wolnych myślicieli i filozofów. Pomimo to jednak, wskutek doboru naturalnego poziom ludzkości koniecznie podnieść się musi i przyznać trzeba, mówi Wallace, że pewien postęp nastąpił. Zdrowie, wytrzymałość i rozum wzrosły, dzięki temu, że w walce zostają wytrącone z szeregów jednostki, posiadające mniejszą wartość.

Jeżeli ludzkość w ogóle poszła naprzód, to nie myślmy, że typy ludzkie, wzięte poszczególnie, są teraz doskonalsze, niż dawniej. Nasi wielcy ludzie nie są zapewne wyżej uzdolnieni od dawnych znakomitych Greków. Trudno nawet objaś-

nić w obecnym stanie rzeczy, dla czego istnieje ta sprzeczność między postępem ludzkości w ogóle a postępem jednostek.

Zajmijmy się teraz, mówi Russel-Wallace, kwestją, nierównie ważniejszą i możliwszą do rozwiązania, a mianowicie: czy istnieją bodźce, pchające wciąż ludzkość po drodze postępu? i czy można one bodźce poznać i określić?

Dotychczas nie wahano się z odpowiedzią na to pytanie, wierzono bowiem święcie w znaczenie wychowania. Pedagogja miała niewątpliwie udoskonalić ludzkość, uczynić ją dobrą, silną i możliwie szlachetną. Ta wiara optymistyczna ugruntowaną była na pewnego rodzaju dogmacie, gorąco popieranym przez Lamarcka i Darwina. Według ich teorji o dziedziczności, dzieci odziedziczają po rodzicach wszystkie zalety i wady, które rodzice nabyli w ciągu swego życia. Jednakże, po bliższem przyjrzeniu się faktom, teorja powyższa nie sprawdza się bynajmniej. Jeden z jej zwolenników, F. Galton, zauważył pierwszy w szeregu spostrzeżeń, że nabyte w życiu cechy nie przechodzą do potomstwa. Następnie, w kilka lat później, niemiecki uczony Weissmann wygłosił swe zapatrywania na dziedziczność, w których zgadza się z poglądami Galtona. Nowa teorja, nazwana weissmanizmem, wywołała ostatniemi czasy niezmiernie gwałtowne dyskusje i sprzeczki; w końcu zwyciężyła i obecnie jest powszechnie prawie przyjętą.

Z teorji Weissmanna wynika, że chociaż dany osobnik będzie zmieniać, doskonalić lub upośledzać niektóre swe organy lub niektóre zdolności, zmiany te nie wpłyną wszelako na jego potomstwo, które powstaje z zarodków dziedzicznych więcej stałych, mających własności więcej skrystalizowane i niedostępne dla przemijających wpływów chwilowych. Zatem, według współczesnej nauki rodzice nie przekazują dzieciom swych przymiotów nabytych.

Jakiż to ma związek z teorją postępu? zapytamy.

Istnieje tu wielki i niewątpliwy związek. Jeżeli dzieci nie odziedziczają wcale przymiotów, nabytych przez ich ojców, to co dzieje się z udoskonaleniami, do których rodzice doszli dzięki wykształceniu? Udoskonalenia te znikają w nas ze śmiercią. Wychowanie przedstawia się zatem tylko jako pośredni czynnik postępu. Jest to wielka prawda, wiemy bowiem, że główni wynalazcy ludzkości byli prawie zawsze samouczkami, nie odziedziczyli oni wykształcenia po swych rodzicach. Weźmy jako przykłady Jerzego Stefensona, wynalazcę lokomotywy; Bramaha, wynalazcę prasy hydraulicznej; Harrisona, wynalazcę nowożytnego chronometru; Faradaya; Johna Huntera i wielu innych. Byli oni dziećmi ludu i mieli rodziców bez żadnego wykształcenia.

Genjusz i wyższe talenty objawiają się niezależnie od wykształcenia, otrzymanego od rodziców i odwrotnie, dzieciom nie udzielają się wyjątkowe dary rodzicielskie. Aby przekonać się o tej prawdzie, porównajmy, jakie zdolności posiadali synowie wielkich filozofów, poetów, artystów.

Gdyby teorja Darwina zgadzała się z prawdą, to młodsi synowie wielkich filozofów powinniby posiadać więcej zdolności od swych starszych braci, ponieważ umysłowe zdolności ich ojców rozwijały się wraz z wiekiem. W rzeczywistości nie dostrzeżono jednak tego zjawiska.

Jakkolwiek nowa teorja wydaje się napozór szkodliwą dla nas, mamy jednak tę pociechę, że jeżeli nie odziedziczamy po ojcach i przodkach ich genjuszu, to zarazem nie odziedziczamy żadnych wad nabytych w ciągu życia.

Widzimy tedy, że wykształcenie nie przechodzi do potomstwa drogą dziedziczności. To sama powiedzieć należy i o innych cechach nabytych.

Jeżeli tak jest, to pytamy, jakim sposobem odbywa się postęp w ludzkości. Może skazani jesteśmy na kręcenie się w błędnem kole, bez możności posuwania się naprzód?

Nie — odpowiada Alfred Russel-Wallace — istnieją dwa prawa, popychające nas naprzód. Po pierwsze, dobór naturalny, o którym mówiliśmy wyżej i który polega na usuwaniu z drogi słabych i nieudolnych. Powtóre jest drugi czynnik niemniej ważny, a wpływ jego z dniem każdym wzrasta; jest to coraz ważniejsze stanowisko, jakie kobieta usiłuje zająć w społeczeństwie nowoczesnem. Rzućmy tylko okiem na ruch feministyczny w Europie i w Ameryce, przejrzyjmy programy kobiece, mające na celu dochodzenie ich praw, oraz otrzymane powodzenia w tym względzie, a przekonamy się, jak wielki i dobroczynny wpływ wywrą kobiety na przyszłe losy ludzkości.

Weźmy jeden chociażby przykład. Kobiety dawne i teraźniejsze hamują dobroczynny wpływ doboru naturalnego, przyjmując za mężów i kochanków typy niższe, skazane na zagładę Gdy kobieta stanie się niezależną, a zatem lepszą i rozumniejszą, nie zechce ona wówczas wstępować w związki z istotami, upośledzonemi fizycznie i moralnie. Ztąd w przyszłości powstaną związki szlachetniejsze, lepiej dobrane, które w szeregu wieków wydadzą pokolenia o wiele wyższe od dawnych oraz teraźniejszych pokoleń ludzkich.

Takie jest zapatrywanie Wallace'a. My z swej strony radzi jesteśmy zaznaczyć, że sprawa emancypacji kobiecej zyskała poparcie w osobie tak wielkiego myśliciela i znawcy przyrody. Domaganie się niezależności dla kobiety uważane jest przez wielu za występek przeciwko naturze. Wallace natomiast zapatruje się na społeczną niezależność kobiety, jako na rzecz nie tylko zgodną z prawami przyrody, ale nadto jako na nieodzowny warunek przyszłego postępu ludzkości.

Dr. M Stefanowska.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.